POWIEŚĆ i NOWELA

Rok XIX — Warszawa, dnia 17 Września 1927 roku — Nr. 38

ANDRZEJ STRUG

1) UCZTA ZWYCIĘSTWA

Co noc wypadały teraz przymrozki, szron długo leżał rankami i uporczywie do samego południa trzymał się w cieniu w ciche, słoneczne, bezobłoczne dni. Powietrze było jędrne i przejrzyste, woda na jeziorze stała się czarna, od niezmiernych połaci trzcin nadbrzeżnych, z każdym powiewem dochodziły niepokojące, nowe, ostre poszumy, metaliczne, martwe. Któregoś ranka opadły naraz co do jednego wszystkie ocalałe jeszcze liście i legły grubo nasłanem koliskiem pod każdem drzewem ociężałe, skute szronem. Zima zaskoczyła świat, nadeszła niespodziewanie, nie dbając o kalendarz, nie licząc się z tem, że nie nadeszły jeszcze ani kożuszki, ani koce, ani buty. Konie nagwałt obrastały zimową sierścią, a ludzie klęli i kulili się w drelichowych kurtkach i w strzępach portek.

W początkach listopada N-y pułk ułanów zapadł na zimowe leże, zatrzymany na tych rubieżach w zwycięskim rozpędzie rozkazem naczelnego dowództwa. Jak grom z jasnego nieba, spadło zawieszenie broni. Jednych oburzyło, innych poraziło nieufną, dręczącą radością, która nie dawała opanować się, ani opamiętać.

Koniec wojny?

Ci, którzy czytywali czasem gazety, spóźnione o dwa, trzy tygodnie, pocieszali się, że to tylko proste a przelotne zawracanie w głowie, wywołane przez intrygi dyplomatyczne, przez nacisk Lloyd George'a (To dopiero drań!), przez dziką linję lorda Curzona (niedoczekanie jego....). Domyślniejsi upatrywali w tem chytrość i manewr, gdyż Naczelny Wódz potrzebował przecież trochę czasu na uporządkowanie bezmiernego bałaganu w armji, która w nieprzerwanych bojach wiała z nad Dźwiny, z nad Berezyny i od Kijowa — aż do bram Warszawy a dalej — niemal od trzech miesięcy w szalonym swoim pościgu.

Reszta oficerów, wciąż jeszcze dziwiąc się i niedowierzając całemu temu przewrotowi, przywykała z dnia na dzień do spokojnego życia i zaczynała już potrosze myśleć o sobie i o swoich własnych ludzkich sprawach. Całym pułkiem wysypiano się za wszystkie czasy, obżerano się po epicku i potwornie, regulując zaległe głody i niedobory. Nowość tego życia, jego odpocznienie i spokój pogrążały oficerów i żołnierzy w uroku biernego trwania, ale we wszystkich oczach przebijało się jakby nieokreślone pytanie, jeszcze pełne niepokoju.

Pułk nie popuszczał z ręki broni; stawiano warty i daleko wysuwano placówki, patrole wyjeżdżały dniem i nocą, jeszcze w całej pełni trwała dyscyplina wojny, bo nie dalej, jak o trzy mile, stał nieprzyjaciel. Nie dalej, jak przedwczoraj, przez piachy i błota przywlókła się wielka kolumna amunicyjna, a dziś rano nadciągnęło z kadry uzupełnienie ludzkie i końskie. Niewiadomo jeszcze, co może z tego wyniknąć...

Ale w sześciuset trzynastu duszach, we wszystkich co do jednej, ile ich było w pułku według stanu wyżywienia, począwszy od komendanta aż do ostatniego kucharza, w każdej po swojemu, a inaczej, nietyle wedle szarży, ile w odbiciu ich nieskończonej rozmaitości człowieczej już nurtowało coś głęboko nowego. Kose promienie listopadowego słońca, zaglądające przez małe okienka białoruskiej chaty, budziły ich co rano napomknieniem o jakiejś ważnej nowinie, ni to złej, ni to dobrej — niewiadomej, ale już tego dnia nieuniknionej. Wieść o dobrej nowinie wnet się rozpraszała i gasła, niczem sen, ale zatajała się nieznacznie i podstępnie kędyś w nierozwikłanym labiryncie bezwiednego wiedzenia.

W ciągu bezpiecznego i spokojnego dnia znienacka spostrzegał jeden czy drugi, — a kto wie — może i wszyscy naraz o pewnej godzinie postrzegali, że Podleszczyckie jezioro wśród tylu wód tego pustkowia jest wyjątkowo piękne, zastanawiające i niemal jedyne. O zachodzie, gdy ogromne czerwone słońce dotykało krawędzi lasów po tamtej stronie, a na całem przestworzu sinej wody kładły się krwawe smugi i płaty, znacząc i pisząc coś tajemnego na niewysłowionem odbiciu rozpłonionego nieba — stawali w milczącem zapatrzeniu, myśląc o niczem. I owo nic, pełne zgadywania czegoś w jeziorze i na niebie, sięgało i poza nie jeszcze, w daleki, szeroki świat, tajemny teraz i nieznany. Tam się kryło dziwne jutro ich życia, jakowyś jego nowy początek, który dopiero zapowiadał się, łudząc i jątrząc nieposkromioną młodzieńczą nadzieją. Nić żywota, przerwana ongiś przez wojnę, usiłowała teraz nawiązać się do starego wątku poprzez lata czasu nie do wiary teraz nikłe i nie do wiary zarazem ogromne. Dawność zda się, że wczorajsza, a tak zamierzchła, okazywała każdemu samego siebie w zupełnem rozdwojeniu, gdzie nic już nie było wspólnego, jak jeno pamięć o jakowemś dalekiem pokrewieństwie. A dziś?

Dziwne to były dni. Przelotne, szybko mknące, jak zawieszone w próżni. Miłe, jakieś tymczasowe, do niczego nie obowiązujące, pełne uroku leniwego oczekiwania.

* * *

Szwadrony, rozkwaterowane między jeziorami, wnet potworzyły zamknięte w sobie gminy koleżeństwa, zajadłe sitwy i gotowały się na długie zimowe leże. Staczały ze sobą bójki przy stogach siana, kłóciły się o pastwiska, kradły sobie nawzajem rzemienie, derki, buty i co się tam dało. Bratały się z ponurą, milczącą ludnością, która, deptana wojną od ośmiu lat i zaznawszy już wszystkiego — i swoich, i niemców, i bolszewików, i polaków, i głodu, i tyfusu, i cholery, przyjęła nowy dopust boży z należytą rezygnacją. Komenda pułku i tabor z półszwadronem stały w Sitowiczach, niegdyś bogatej, ludnej wsi, jak świadczył odmęt kominów, ruiny murowanej cerkwi i rozległe stare sady. Wśród pustkowia ocalało kilkanaście chat a w nich jakieś nędzne resztki ludności, obszerne probostwo, a nad samem jeziorem dwa długie, czarne, posępne, papą kryte baraki, pozostałe po niemcach. Komenda pułku urządziła się jako tako na probostwie. półszwadron zajął baraki, tabor sparkował się nad wodą. Łącznicy codzień przywozili z dowództwa grupy rozkazy i nowiny, oficerowie w ważniejszych sprawach służbowych, a szczególniej w sprawach żadnych dzień w dzień dojeżdżali do Sitowicz i rojem obsiadali stół komendanta od rana do późnej nocy. Na ogromnym stole, skleconym z tarcic na ordynarnych okrąglakach, o każdej porze zastawiona była tak zwana po tamtejszemu herbatka, czyli wódka i rum, a do tego zwały mięsiwa z wszelkiej zwierzyny, której tu była moc nieprzebrana, do czego zazwyczaj brakowało jakiejkolwiek przyprawy a częstokroć i chleba.

* * *

W pogodne południe pułkownik Gacewicz, mąż rosły, barczysty i brzuchaty (w pułku nazywano go—Puzo), wygrzewał się na ławie przed domem, mrużył oczy od blasku i drzemał, słuchając raportu pana Pijanowskiego, rozgłoszonego w sztabie dowództwa grupy w Dołżynie za świetnego kuchmistrza, którego onego czasu rozrywały sobie dwory hrabskie i książęce w całej Mińszczyźnie.

Pan Pijanowski sterczał bez czapki w postawie pełnej uszanowania i sypał przed pułkownikiem erudycją gastronomiczną, pomagając sobie gestami, przejętemi od kresowych hrabiów i książąt.

— O pieczyste i o pasztety, panie pułkowniku, nie widzę żadnej obawy, opierając się na dziczy, która tu jest, jedno słowo, na zawołanie. Toż samo dotyczy majonezów, ile że ryba tu wszędzie „kiszma kiszyt", choć rękami bierz. Ale bez masła, panie pułkowniku...

— Masła niema? — ocknął się pułkownik — wiem, że niema. Przyjdzie się wypisać...

— Wypisać można, choćby z Warszawy, ale na kiedy to będzie?

— Będzie na czas, musi być na dzień i godzinę! Wnet pchnie się człowieka na noc — kłus i galop. Zadepeszuje się jutro rano z Dołażyna do Warszawy, niech przysyłają co trzeba na łeb, na szyję.

— Jeszcze ważna rzecz — mąka najbielusieńka amerykańska. A do tego — jaj! Dużo jaj! W tym kraju, panie pułkowniku, kurą i nie pachnie. Byli taj całe wyszli. Przewiodły się...

— Dalej!

— Korzenie wszelkie, ocet, oliwa, jarzyny, — no i jeszcze wszystko insze, panie pułkowniku! Przecie tu nic niema.

— A w Lidzie?

— Głód i nędza!

— A w Wilnie? W Grodnie?

Pan Pijanowski machnął ręką.

— No, tak... Napiszesz pan zaraz zapotrzebowanie, co, jak i ile czego!

— Na osób?....

— Osób na pięćdziesiąt, bo tyle będzie zaproszeń, ale rachuj pan jeszcze na jakie ze dwadzieścia, bo zawsze się tam ktoś przyplącze—razem siedemdziesiąt nakryć....

— Nakryć... Otóż co do nakryć, panie pułkowniku, to tu żadnych nakryć nie okazuje się w najmniejszej proporcji, ani jednej wazy, ani widelców, ani talerzy....

— Z tem wszystkiem to już do rotmistrza Lipaczyńskiego, on już jakoś ustroi, zapożyczy w dowództwie grupy, pozbiera, gdzie się da. A co do wódek, win i wszystkich napitków, to już po części porucznika Sztocha — mnie pan tu podawaj tylko menu. Pamiętaj pan, że sam naczelnik grupy będzie, trzech generałów, francuzy będą...

Kuchmistrz ściągnął siwe krzaczaste brwi w głębokiem skupieniu, wytrzymał chwilę i oznajmił z dobitną stanowczością:

— Kulebiakę poda się w trzech sortach....

— Kulebiaka!....

Na szerokiem obliczu pułkownika wytrysło coś, jakby przestrach, jak nagłe objawienie i wnet rozlało się to w rozczuloną błogość.

— Tak jest, panie pułkowniku, bez kulebiaki niema przyjęcia wojskowego, a cóż dopiero w kawaleryjskiej części....

— Któż tego nie wie? Zrozumiała rzecz! Zapomnieli my w te psie czasy, panie Pijanowski, jak to dawniej ludzie po ludzku jadali... Bo, co tu długo gadać, panie Pijanowski, nie było i niema, jak ruski stół — rozsolniczek, ucha, bałyczok, pierożeczki z wiazigą, z rybką, z kapustą....

— Smirnowoczka, panie pułkowniku, smirnowoczka... — przypomniał pan Pijanowski. — Przełkniesz kęs, posmakujesz, a tam i chłopniesz... Przełkniesz, a chłopniesz... Czyściuchońka ona, jak ta łza niewinności... Potem, powiemy....

— A tam prosiąteczek pod chrzanem!

— Blinki hreczane, kostromskie... — wstawił kuchmistrz lubieżnym szeptem.

Zgadało się, że kuchmistrz przez dziesięć lat dzierżawił bufet w „oficerskiem zebraniu" Achtyrskiego pułku dragonów w Bobrujsku i okazało się, że pułkownik Gacewicz był tam raz na obiedzie w przejeździe, jako porucznik Narwskiego pułku. Westchnęli i przemilczeli słowa, które same wydzierały się im obu ze wzruszonej pamięci.

— Za to Polskę mamy, panie Pijanowski! Co?

Ale stary kuchmistrz nic na to nie odpowiedział. Obrócił twarz na jeziora i patrzał w dal ku marom niepowrotnej przeszłości.

(D. c. n.)

J. KESSEL i H. IZWOLSKA

36)

ŚLEPOTA WŁADCÓW

X

LORENZACCIO

Opuściwszy pałac sprawiedliwości, Dolin szedł pozbawiony rozsądku i uczuć. Zapomniał, że udaje się do księcia Feliksa i że miało to być ostatnie zebranie przed zabójstwem. Wiedział poprostu, że cierpienie przekracza już wszelką miarę i że dzień jutrzejszy pomści go za wszystko.

Wiedziony instynktem, szedł we właściwym kierunku. Był zdumiony, gdy przeszedłszy przez kanał Mojki, ujrzał nagle kopułę, a pod nią olbrzymie oddrzwia, prowadzące na dziedziniec pałacu książąt Jussupowych. Była to siedziba szlachetna, strojna w białe i żółte kolumny, wybudowana za czasów Katarzyny Wielkiej, przez Włocha Guarengui, budowniczego cesarskich pałaców.

Gdy Dolin przechodził przez dziedziniec, podszedł do niego młody mężczyzna o szczerej twarzy.

— Księcia niema jeszcze — rzekł.

Jerzy musiał uczynić pewien wysiłek, ażeby poznać architekta, Andrzeja Bielajewa, któremu Jussupow powierzył odnowienie swoich pokojów.

— Jestem zdumiony, że niema go jeszcze — ciągnął architekt — książę zalecał mi gorąco, ażeby suteryna była gotowa na dzisiejszy wieczór i miał to sprawdzić. W każdym razie, wszystko już jest na swojem miejscu, nawet okiennice z grubego drzewa, które kazał mi umieścić w oknach.

Pod wpływem tych słów, Dolin oprzytomniał. Dekoracje były już ustawione! Jutro! jutro! Spokój, jaki go ogarnął w tej chwili, był—Jerzy poznał to — dziełem księcia.

— Jussupow przyjdzie napewno — rzekł Jerzy. — Umówił się ze mną.

— Więc może, tymczasem, zwiedzi pan pałac? — zapytał Bielajew.

Dolin czuł, że Bielajew jest dumny ze swojej pracy i rad by mu ją pokazać. Poszedł za architektem do sal przyjęć. Ujrzał wspaniałe komnaty utrzymane w stylu rosyjskim z osiemnastego stulecia. Dalej kolumnady z szarego i niebieskiego marmuru ze srebrnemi kapitelami. Cicha spływała woda z fontanny. Loggie, wydrążone, niby cieniste zatoki. Na sklepieniu malowane girlandy kwiatów opasujących łabędzie i motyle. Uderzyło go łóżko koloru kości słoniowej, całe rzeźbione w róże. Tuż bok czary z przezroczystych kamieni, z których wytryskiwała bezustannie świeża woda.

— Fontanna łez, — objaśnił architekt.

Chociaż pokoje były piękne, ale nie oczarowały Dolina. Czuł się tu obco. Nie, to nie było pole jego jutrzejszego działania.

— Andrzeju Iwanowiczu — rzekł — nie sądzi pan, że książę wrócił już?

— Ma pan słuszność, hrabio. Chodźmy do jego osobistych apartamentów.

Do pokojów przeznaczonych dla księcia szło się przez mały przedsionek. Następnie, znajdował się mały ośmiokątny pokoik, którego ściany były właściwie tylko drzwiami. Większość drzwi była ukryta, stanowiła schowanka i pułapki. Dolin przeszedłszy przez próg, odczuł powiew tajemnicy. Nie słuchając objaśnień Bielajewa, udał się wprost do gabinetu księcia. Nurtował go nerwowy pośpiech. Nie zauważył obrazów, pendzla mistrzów holenderskich, które były porozwieszane na ścianach, lecz zastanowił go widok ciężkiej kopuły cerkwi, rysującej się na tle śnieżystego nieba, w obramowaniu okna, która zdawała się czuwać nad tym pokojem, pełnym zakamarków i utajonych zamierzeń.

Dolin powrócił do ośmiokątnego pokoju. Jedne z drzwi, odemknięte, prowadziły na kręte schody, i zagłębiały w mrok, w którym migotało słabe światło siedmioramiennego hebrajskiego świecznika.

— To tutaj — szepnął Dolin.

— Dosyć wstrząsające, prawda? — rzekł z uśmiechem architekt.—Wszystkie te zakamarki, ukryte drzwi, ruchome płyty, nieprzewidziane odnogi. Można by przypuszczać, że zajdzie tu coś nadzwyczajnego.

Lecz udzieliła mu się powaga towarzysza i przestał żartować. Dolin szepnął, mimowoli:

— Pałac Lorenzaccia!

Zeszli kilka stopni. W połowie drogi, drzwi otwierały się na małe podwórko.

— Zobaczę, czy książę jest tutaj — rzekł Bielajew. — Powrócę za chwilę.

Dolin schodził powoli. W miarę, gdy zbliżał się do piwnicy, serce wyzbywało się bólu. Jak mało ważyły jego cierpienia, wobec tego, co miało się spełnić tutaj, za kilka godzin!

Wszedł do przedpokoju. Szkarłatna zasłona, z weneckiego aksamitu, haftowana w złote gałęzie palmowego drzewa, była zapuszczona do połowy, za nią znajdowała się sala niska i sklepiona, jak piwnica. Sufit i ściany z szarego marmuru, posadzka przykryta białemi, niedźwiedziemi skórami. Jerzy stąpał po nich, zamyślony. Ogarnęło go głębokie skupienie. Niebawem demon Rosji wyzionie ducha na tych futrach bez plamy.

Starzec nie wzbudzał już nienawiści w Dolinie. Nienawiść wchodzi w skład uczuć ludzkich. W tej ciszy, otoczonej zwałem ścian granitowych, nie było już dla nich miejsca.

— Pałac Lorenzaccia — powtórzył Dolin.

I pozostał znieruchomiały, w odrętwieniu; jego dusza rozpraszała się.

Rozległ się głos dźwięczny, cenny, uroczysty. Dolin nie zdziwił się. Nawet jeżeli jego ciało znajdowało się gdzieindziej, Jussupow musiał tu być w tej chwili. To też Jerzy nie odwrócił głowy i nie ujrzał księcia siedzącego w zagłębieniu na fotelu, który miał kształt tronu.

Jerzy wsłuchiwał się w głos, a głos ten mówił:

— Co za spokój! Co za spokój! Gdyby można trwać tak wiecznie!....

XI

„YANKEE DOODLE"

Była pierwsza w nocy. Samochód wjechał na mniejszy dziedziniec pałacu Jussupowych. Otyły szofer, w wojskowej czapce i futrze, pomógł wysiąść Rasputinowi i księciu Feliksowi. Odnosił się z wielkiem

uszanowaniem, ale pochylał głowę zbyt nisko, jakby bojąc się, że mimo ciemnej nocy ujrzy ktoś jego twarz.

Cicho stąpały kroki po śniegu. Ale zaledwie Jussupow otworzył drzwi prowadzące na kręte schody, zaskoczyła ich muzyka, głośna i brutalna.

„Nie zapomnieli", pomyślał książę, usuwając się przed Rasputinem.

Starec wszedł do pałacu.

Wrażliwy na wszystkie fizyczne wpływy, długo wchłaniał miękkie ciepło, oraz perfumy, te poprzedniczki i współwinowajczynie rozkoszy, jakie mu ofiarowywano w tem miejscu. Następnie zdjął karakułową czapkę, ciężkie futro, kalosze podbite futrem, które ochraniały jego buty, i zapytał:

— Którędy się idzie, mój mały?

— Zejdźcie Grigori Effimiczu, nikogo już niema.

— Ho, ho — rzekł Rasputin, gdy byli już w piwnicy, — zdaje mi się, że się bawiono u ciebie.

Na środku pokoju stał stół nakryty do wieczerzy. Leniwo unosiła się para z nawpół opróżnionych filiżanek. Między pogniecionemi serwetkami leżały na talerzykach napoczęte ciastka z różowym i bronzowym kremem. Widać było, że liczne towarzystwo, spłoszone przyjściem ważnego gościa, opuściło ten pokój nagle.

To szczególne wyróżnienie spodobało się Rasputinowi. Jego spojrzenie ogarniające i chłonące na równi rzeczy, jak i ludzi, zbadało pokój z upodobaniem. Dostrzegł ponad kominkiem piękny krzyż z kości słoniowej, tonący w mroku. Na lewo, na podstawie cztery butelki marsali, porta, madery i xeresu zasłaniały do połowy kieliszki z ciemnego szkła. Matowe szkło nie pozwalało zauważyć, że dwa z nich zawierały po kilka kropel żółtawego płynu.

— Były tu kobieciątka — rzekł ostro Rasputin. — Butelki nie są nawet odkorkowane... Ale czemu nie czuję kobiecego zapachu?

Nie zastanawiał się nad tem dłużej. Wielka przyjaźń, jaką żywił dla księcia i ten ciemny niski pokój, tak odpowiadający jego pożądaniu, uśpił zwykłą nieufność.

Duże lustro, pełne świateł i cieni, pociągnęło go. Był zadowolony, widząc w zwierciadle swoje buty lśniące i giętkie, jak żywa skóra, bluzę z kremowego atłasu, zahaftowaną różnobarwnym jedwabiem i ściągniętą poziomkową wstęgą. Zbliżając się do zwierciadła, starec ujrzał w mętnej tafli twarz bladą ze świecącą naoliwioną brodą i zmrużone, nieruchome, czuwające spojrzenie.

Powrócił na środek pokoju zbrojny w miażdżący spokój: nikt nie mógł mu się oprzeć, a tego wieczoru czuł się silniejszym, niż kiedykolwiek. Ciało strojne w lekkie i bogate szaty tętniało pełnią życia i nieporównanym żarem. Sercem niecierpliwem a zarazem pogodnem oczekiwał brutalnych rozkoszy miłosnych.

— Na szczęście, mogłem zbić z tropu moich policjantów — rzekł. — Maleńki, nikt nie wie, że jestem u ciebie. Hrabina może być spokojna. Czy zejdzie niebawem?

— Czeka na rozejście się gości — odpowiedział książę, — zauważonoby jej długą nieobecność.

— Dobrze, dobrze, mamy czas.

Rasputin urwał, przysłuchując się nosowym dźwiękom i hałaśliwemu rytmowi melodji, która dochodziła z góry.

— Co to za muzyka? — zapytał.

— Bawią się fonografem, Grigori Effimiczu.

— Nie poznaję melodji.

— To marsz amerykański. Nazywa się *Yanke Doodle*. Jest bardzo wesoły, prawda?

— Tak, tak — szepnął starec.

Usiadł przy stole w zamyśleniu. Nie wiedząc, dlaczego jego zadowolenie rozprysło się. Ta dziwaczna melodja wywoływała w nim uczucie niepokoju i zamętu. Lecz jedno spojrzenie księcia zdołało przywrócić mu spokój. Czego miał się obawiać w towarzystwie człowieka tak uważającego, tak anielskiego?

— Nie zechcecie się czegoś napić, Grigori Effimiczu? — zapytał wesoło Jussupow. — Oto wasze ulubione wina.

Rasputin rzucił roztargnione spojrzenie na butelki. Innym razem, nie czekałby, aż go poczęstują. Ale tego wieczoru jego instynkt, wprawdzie odrętwiały, nie pozwolił mu tknąć tych napojów.

— Dziękuję, — rzekł — mam pragnienie, ale tylko na małą hrabinę.

— Więc może coś słodkiego?

I Jussupow podsunął ciastka, które przed godziną zręczne ręce nadziały trucizną.

Chociaż ruch księcia i jego głos znamionowały tylko gościnnego gospodarza, Rasputin odepchnął talerzyk grubijańsko:

— Nie — krzyczał, — mówię ci, że nie chcę!

Następnie, jakgdyby chcąc wytłomaczyć ten odruch, w którym jego wola nie wzięła udziału, Rasputin rzekł dobrodusznie:

— Lepiej pogadamy.

Rozmawiali przyjaźnie. Na górze fonograf wystukiwał *Yankee Doodle*.

W miarę jak czas mijał, Rasputin posępniał. Mówiąc, urywał często i słysząc nieustannie rytm brutalnego marsza, marszczył swoje surowe czoło. Oczy, które straciły spokój, spoglądały kolejno na wszystkie sprzęty z dziwnem przerażeniem.

Widząc, że ta twarz, dotychczas spokojna, znowu podlega mocom odgadującym, Jussupow wstał.

— Muszę pójść zobaczyć, co robią moi goście — odezwał się. — Nie macie nic przeciwko temu Grigori Effimiczu?

Głos księcia uspokoił niejasne wzburzenie Rasputina.

— Idź, — rzekł — i, jeżeli możesz, sprowadź tu małą hrabinę.

A na górze, czterej zaprzysiężeni oczekiwali Jussupowa z bijącem sercem.

Rasputin nie usłyszał ich słów. Wtulony w fotel, dążył szlakiem pogmatwanych marzeń. Budziły się w jego pamięci młodociane lata.

Zapach syberyjskich lasów... Mroczne klasztory... Dziewczęta ze wsi... Prace w polu...

Odbiegła go chytrość i wszelkie nieczyste pragnienia. Zapomniał nawet o tem, co go przyciągnęło do tych zbytkownych podziemi. Łagodny, czarownie prosty był jak dziecko, na pograniczu snu.

Wtem uczuł, że to zbyt wielkie i nigdy nie doznawane ukojenie było nieomylnym zwiastunem niebezpieczeństwa. Wyprostował się. Ten nieludzki głos, powtarzający bezustannie obcą melodję, ranił jego słuch, przywykły do rosyjskich pieśni pełnych cienia i nieskończoności. Zacisnął pięści, jakby przed wrogiem.

Ukazał się Jussupow.

— Mówiłem z hrabiną, — rzekł. — Przyjdzie niebawem. Trochę cierpliwości, Grigori Effimiczu. I proszę przebaczyć to długie czekanie.

Wdzięk księcia wywołał pożądane wrażenie.

(D. c. n.)